

# Nowakowski Przemysław

## Casta Diva

Z „Fahrenheit”

ilustracje Małgorzata "Asfodel" Jakubiak

Odwróciła się gwałtownie, słysząc brzęk rozpryskującego się szkła. Do pokoju wdarło się chłodne powietrze. Ujrzała ponurą, ziejącą dziurę. Przestraszyła się. Cały jej świat skurczył się nagle do mozaiki malutkich, rozsypanych dookoła szklanych fragmencików. Dopiero po chwili zrobiło się jej chłodno. Oprzytomniała. Poszła do kuchni po zmiotkę i zabrała się do sprzątanania. Na myśl nie przyszło jej nawet pytanie: kto i po co zbił szybę? Zupełnie jakby coś takiego przytrafiało jej się co dzień. Dopiero kiedy tysiące drobnych odprysków opuszczały szufelkę, lądując w blokowym kontenerze, zorientowała się, że nie było żadnych racjonalnych powodów, dla których szyba powinna była pęknąć. Nikt nie rzucił kamieniem. Nikogo w pobliżu nie było. Żadne drzewo nie rośło przy balkonie. Dookoła panował niezmacony spokój. Słyszała o przypadkach ludzi, którzy krzykiem potrafili rozbijać szkło, ale ona mieszkała na odludziu. Nie było w okolicy żadnych szamanów, czarowników voodoo, ani cyrkowców. Tylko jej dom, a w nim zamiast szyby czarna otchłań. Od razu zorientowała się, że tylko szybkie jej usunięcie, pozwoli odzyskać utraconą nagle równowagę. Doznała dziwnego uczucia przygnębienia. Po raz pierwszy od bardzo dawna przypomniała sobie o dzieciach. Ta myśl napełniła ją tak głębokim smutkiem, że poczuła lekki skurcz w sercu, a łza potoczyła się po policzku. Aby jak najprędzej odepchnąć te myśli, odszukała wśród gratów na strychu przestarzałą książkę telefoniczną. Pośród wielu nazw zakładów szklarskich, jedna zwróciła jej szczególną uwagę. Ukryta między innymi znakami, tkwiła gdzieś w połowie lewej kolumny, po prawej stronie, w samym środku opasłego tomiska. Szklarnia "Roman", Antonio Nibelli. Tych kilka słów zaintrygowało ją na tyle mocno, że zadzwoniła właśnie tam, nie wiedząc nawet, czy po tylu latach firma prowadzona przez włoskiego rzemieślnika jeszcze prosperowała. Zmysłowy baryton wyrwał ją z zadumy:

- Nibelli, słucham – powiedział ktoś z wyraźnym włoskim akcentem.
- Moje nazwisko Sokołowska. Czy wciąż świadczy pan usługi szklarskie? – zapytała.
- Oczywiście, proszę pani – usłyszała w słuchawce. – Czyżby ktoś przebąkiwał o naszym bankructwie? – zainteresował się Nibelli.
- Ależ nie – zmieszła się. – Po prostu mam bardzo starą książkę telefoniczną i nie wiedziałam, czy jest jeszcze aktualna.
- Rozumiem – odparł uspokojony Nibelli. – Powiem pani w sekrecie – dodał – że mamy najniższe ceny w regionie. Wybrała pani doskonale. Od lat jesteśmy także cenieni za naszą fachowość. Nikt się jeszcze nie uskarżał na wykonane przez nas usługi.

Sokołowska spojrzała na datę wydania książki telefonicznej. Na pierwszej stronie widniał rok 1975...

- Tak dobrze pamięta pan wszystkich klientów? – próbowała zażartować.
- Osobiście wykonuję wszystkie usługi od dnia założenia przeze mnie firmy – odparł.

Zamurowało ją. Była pewna, że głos wydobywający się z słuchawki należał do trzydziestolatka. Nie dała jednak po sobie poznać zaskoczenia.

– Doskonale – powiedziała. – Chciałabym, aby wymienił pan jedną z szyb, która mi się właśnie zbiła.

– Mamy jeszcze kilka szyb balkonowych – uprzejmie odpowiedział Nibelli. – Proszę tylko podać adres...

Chciała zanieść starą książkę z powrotem na strych, kiedy zadzwonił telefon. Słuchawka jeszcze była gorąca i wilgotna od potu, mimo że w domu robiło się coraz chłodniej. Listopadowe powietrze wdzierало się do wnętrza, a pusta rama balkonowych drzwi nie stanowiła dlań żadnej przeszkody. Jednak jej nie było zimno, wręcz przeciwnie, emocje wywołały w niej fale ciepła, przyjemnie rozchodzące się po ciele.

– Słucham – rzuciła do słuchawki.

– Anka? – zapytał ktoś z drugiej strony kabla. – Mówi Tomasz.

– Cześć, co słysząc? – zapytała powoli, dając mnemozynie czas, na przypomnienie jej kim był Tomasz. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że jest to facet odpowiedzialny za marketing w operze, na deskach której od lat występowała.

– Calypso nie żyje – odparł oschle Tomasz. Miłe uczucie komfortu ponownie zakłóciły bolesne szpilki lodu na plecach.

– Co?! – bezwiednie wykrzyknęła. Calypso była jej przyjaciółką, najwybitniejszą współcześnie żyjącą sopranistką koloraturową na świecie.

– Przecież jeszcze wczoraj z nią rozmawiałam – powiedziała półszepem, jakby do siebie, naiwnie próbując się przekonać, że słowa Tomasza nie mogą być prawdziwe.

– Niestety, to fakt – rozwiął wszelką nadzieję jej rozmówca. – Wskoczyła z dziesiątego piętra swojego hotelu – dodał. – Trzydzieści minut temu.

– Kiedy? – zapytała z niedowierzaniem.

– Trzydzieści minut temu – powtórzył jak echo Tomasz. – Zaraz po tym, jak dostałem telefon z Mediolanu, zadzwoniłem do ciebie. Jutro w La Scali grają *Normę* i nie chcą tego przekładać. Wszystkie bilety są już wysprzedane. Wybrali ciebie...

– Chyba żartujesz?! – krzyknęła – Kilka godzin po jej śmierci? Za żadne pieniądze się nie zgodzę – Miała mętlik w głowie. Trzydzieści minut temu pękła jej szyba w drzwiach balkonowych, a teraz dowiedziała się, że w tym samym momencie jej najlepsza przyjaciółka, kobieta spełniona, pełna radości życia, popełniła samobójstwo. To wszystko było bliższe koszmarowi sennemu niż rzeczywistości.

– Wiem, że się lubiłyście, ale pomyśl o swojej szansie. Miałabyś okazję wreszcie wyjść z jej cienia i zaśpiewać na najbardziej prestiżowej scenie świata operowego. I to od razu w *Normie*! Zrób to dla niej i dla nas – nalegał Tomasz. Jakby tego było mało, w tym samym momencie ktoś zapukał do drzwi.

– Oddzwonię do ciebie za chwileczkę. Mam gościa – powiedziała do słuchawki.

Przytłumione pukanie rozlegało się nieprzerwanie. Do wtóru zagrał mu wiatr. Dopiero teraz poczuła, jak chłodno było w mieszkaniu. Zbliżając się do drzwi, zadawała sobie pytanie, co jeszcze mogło ją spotkać tego wieczora. Na zewnątrz zaczął padać deszcz. Pukanie przycichło. Cisza była jeszcze mniej przyjemna niż uciążliwe stukanie. Odkluczyła zamek i nacisnęła klamkę. Dawno nieoliwione drzwi

otworzyły się z piskiem. Na progu stał uśmiechnięty, mocno opalony, młody mężczyzna. Był niewątpliwie bardzo przystojny, ale też trochę zbyt szczupły jak na swój wzrost.



– Nazywam się Nibelli. To ze mną rozmawiała pani przez telefon – powiedział, czarująco się uśmiechając. Teraz już wiedziała, że kłamał. Nie mógł pracować w tej firmie od początku, bo przeczyłoby to prawom natury. Kłamał prosto w oczy, ale skoro już tu był, to mógł wstawić tę nieszczęsną szybę. Czują, jakby ziejąca dziura w drzwiach była odpowiedzialna za śmierć Calypso.

– Proszę, balkon mam tam – wskazała szklarzowi. – Niech pan sprawdzi, dlaczego pękła, bardzo mnie to ciekawi.

– To pani nie wie, jak ona została rozbita? – zdumiał się Nibelli. – Szyby same nie pękają. To niemożliwe.

– A Oscarek? – powiedziała szeptem do siebie.

– Słucham? – ponownie zdziwił się szklarz.

– Nie, nie, nic takiego – zmieszała się. – Moja przyjaciółka dzisiaj zmarła, więc mogę się dziwnie zachowywać – zaczęła się tłumaczyć.

– Bardzo mi przykro – powiedział Nibelli, przyglądając się otworowi po szybie. – Chyba mam odpowiednią szybę ze sobą. Zejdę do samochodu i przypituję ją troszkę. Będzie pasować jak ulał – oświadczył. Sokołowska odetchnęła z ulgą.

Tajemniczy szklarz, Włoch z pochodzenia, na co wskazywało jego imię i nazwisko, wrócił szybciej niż się spodziewała. Musiał przycinać tę taflę szkła w tempie ekspresowym. Wstawił szybę z wprawą, w kilkadziesiąt sekund załatwiając całą sprawę. Rzeczywiście dużo nie żądał. Właściwie to wziął symboliczną sumę, jakby popyt na jego usługi rekompensował ich niską cenę. Kiedy wyszedł, zauważyła, że w prawym rogu nowowstawionej szyby znajdował się kamień. Tkwił tam, pośród małych odłamków piasku przelanych w szklaną masę. Kształtem i rozkładem odcieni przypominał trochę ludzkie oko. Im dłużej się w niego wpatrywała, tym bardziej się przekonywała, że polecą najszybszym samolotem do Mediolanu, aby zaśpiewać partię Normy i dowiedzieć się, dlaczego Calypso nie żyje. Nie wierzyła w samobójstwo. Ktoś musiał ją wypchnąć z balkonu. Jeszcze wczoraj w trakcie ich rozmowy jej przyjaciółka zdawała się być zupełnie szczęśliwa, pełna tej słynnej już pasji życia. Sokołowska po raz kolejny tego wieczora chwyciła słuchawkę telefonu. Najpierw zadzwoniła do Tomasza, potem na lotnisko, wreszcie po taksówkę. Do najbliższego lotu pozostało półtorej godziny. Jeszcze tej nocy znalazła się w Mediolanie.

\* \* \* \* \*

Konieczność chciała zamieszkać w tym samym pokoju, w którym zakwaterowana była ostatnio Calypso. Intuicja podpowiadała jej, że tylko w ten sposób pozna tajemnicę tragedii, jaka spotkała jej najlepszą przyjaciółkę. Hotel był niezwykle drogi, chyba tylko dlatego wejścia do feralnego pokoju nie broniły policyjne taśmy. Doskonała obsługa hotelowa wpłynęła na nią kojąco. Najważniejsza była obecność znajomych jej ludzi, która usuwała w cień przygnębiające poczucie samotności. Słynne solistki operowe, wielcy dyrygenci i genialni kompozytorzy mijali ją w hallu i pozdrawiali, jakby dopiero wczoraj opuściła Mediolan. Nie miała ochoty z nimi teraz rozmawiać. Zbyt wyraźnie przypominali jej o dzieciach. Potrzebny był sen.

Pokój, który zajmowała Calypso, był obszernym apartamentem, z olbrzymim dwuosobowym łóżem. Przyjaciółka nie należała do osób stroniących od seksu, więc zapewne nieraz było używane. Poprzedniego wieczora było świadkiem tragedii, jednak teraz, kiedy policja i lekarze opuścili już lokal i nowy gość wprowadził się do pokoju, wyglądało jakby było nie używane od lat. Tylko jedna rzecz nie dawała jej spokoju odkąd przekroczyła próg tego apartamentu: świadomość, że właśnie tutaj, wczoraj, półtora tysiąca kilometrów od domu, o tej samej godzinie, szyba balkonowa w oknie Calypso rozpadła się na tysiące małych kryształków. Ta nowowstawiona bardzo przypominała jej o tym, że nie wszystko było w porządku. Nie chciała wierzyć w działanie sił przekraczających jej pojęcie, ale po ostatnich wydarzeniach czuła się mniej pewna otaczającego ją świata niż po lekturze z fizyki kwantowej, która kiedyś przypadkowo wpadła w jej ręce. Zasnąć pozwoliła jej jedynie nadzieja, że dalsze wydarzenia przyniosą rozwiązanie zagadki...

Wschodzące słońce obudziło ją dużo wcześniej niż się spodziewała. Imponujący widok szybko jednak zrekompensował jej przerwany sen. Słońce odbijało się w oknach paletą barw, potęgując wrażenie wszechogarniającego pożaru. Do życia budził się kolejny dzień, ale to właśnie tego wieczora miała po raz pierwszy wystąpić na deskach La Scali w roli głównej, i to w dzień po tragicznych wydarzeniach, których finałem była tajemnicza śmierć Calypso. Niemalże do samej chwili wyjścia na scenę nie rozmawiała z nikim. Próbowwała zachować dystans, aby wrażenia nie wpłynęły na nią negatywnie podczas występu. Cały dzień więziła się w hotelu, na dziesiątym piętrze, zadreżdżając się myślami, których chciała uniknąć. Co chwila spoglądała przez okno. Słońce dawno opuściło już horyzont, by wzbici się wysoko w niebo, ale czerwona poświata na budynkach pozostawała, podobnie jak uczucie nieustającego pożaru w myślach Sokołowskiej. Znowu widziała wśród płomieni dwoje dzieci, wołających o pomoc. Wydawało jej się, że to działo się wczoraj, a to już minęło tyle lat. Czy w to samo miejsce, co oni, trafiła teraz Calypso? Zebrało jej się na wymioty. Musiała bardzo się przemóc, aby wsiąść do podstawionej pod hotel limuzyny i dać się zawieźć się do gmachu La Scali. Nie czuła się zbyt dobrze...

Kiedy wyszła zza kurtyny i ujrzała całą śmietankę towarzyską świata operowego, nogi lekko się pod nią ugięły. Śpiewała tu przed laty w chórkach, więc atmosfera sali była jej znana, jednak nigdy nie ciążyła na niej tak wielka odpowiedzialność. W chwili, gdy wydawała z siebie pierwszy dźwięk, pociemniało jej w oczach. Serce zaczęło szybciej bić. Na szczęście zaśpiewała bez fałszu, czysto. Po chwili zapomniała o tremie i zaczęła śpiewać mocno, pozwalając unieść się muzyce. Publiczność w mig pojęła, że Calypso miała wysokiej klasy następczynię. Po kilku minutach większość gości była już pod urokiem nowej primadonny. Sokołowska nie poprzestawała na muzyce, w każdy ruch wkładała maksimum ekspresji, dążąc do przedstawienia ciałem tego, czego nie mogła wyśpiewać. Jednak siły w bardzo szybkim tempie zaczęły ją opuszczać. Coś zakłuło ją w piersiach. Mimo że traciła oddech, wciąż śpiewała na najwyższym poziomie. Kiedy zbliżała się do wykonania słynnej arii *Casta diva*, straciła przytomność. Ocknęła się chwilę później. Stała nadal na scenie, a publiczność wiwatowała na jej cześć. Ucisk na serce zelżał. Zaczęła na powrót miarowo oddychać. Poczucie zagrożenia zastąpiło komfortujące uczucie głębokiej satysfakcji. Reszta koncertu była jej popisem, a na koniec publiczność przez aklamację wyraziła swoją wdzięczność niesłabnącą burzą oklasków. Tylko jeden element zakłócił harmonię. Przez krótki moment, dosłownie na sekundę, wśród gości obserwujących ją z balkonowej łoży dostrzegła znajomą twarz, oblicze, którego nie mogła zapomnieć. Z lornetką w ręce oglądał jej występ Nibelli. Poczuli, że obłęd obejmuje ją niczym dawno nie widziany ojciec. Po raz drugi tego wieczoru straciła przytomność.

Obudziła się w hotelu z potwornym bólem głowy. Tępe pulsowanie zaburzało jasność myśli. Przyjaciółki poinformowały ją, że występ był niesamowitym sukcesem i już wysprzedano bilety na kolejne przedstawienia. Na myśl o kolejnym wykonaniu arii *Casta diva* Sokołowska poczuła narastające mdłości. Śpiewała ją tysiące razy na deskach innych oper, ale tutaj czuła tak nieprzyjemne wibracje, jakby ten budynek żył własnym życiem i próbował ją stąd przegonić. Żałowała, że pozwoliła się namówić na przyjazd do Lombardii. Była to winna Calypso. Powzięła jednak decyzję, że zaraz po rozszyfrowaniu zagadki jej śmierci wróci do Polski. W Mediolanie nikt nie próbował dociec, dlaczego kobieta u szczytu swoich możliwości wyskoczyła z dziesiątego pietra. Koleżanki nic nie słyszały o depresji Calypso. Wydawało im się, że nie ma powodów do smartwień. Narzekała trochę na zdrowie, ale nie wspominała o żadnej trwałej dolegliwości. Policja szybko zamknęła sprawę. Nie interesowały ich motywy samobójstwa. Ważne było tylko szybkie pozbycie się kłopotu i zapewne też prasy, węszącej nieustannie w poszukiwaniu sensacji i typującej nieustannie nowych sprawców zbrodni. Jednak Sokołowska nie była

usatysfakcjonowana takim rozwiązaniem. Wiedziała, że pod otoczką oczywistych faktów kryło się coś znacznie bardziej skomplikowanego: coś, co miało związek z nią samą. Przeszukała wszystkie pozostawione po zmarłej dokumenty i notatki, ale wśród wielu zapisków muzycznych nie znalazła nic nadzwyczajnego. Jedyne daty koncertów, godziny spotkań z przyjaciółmi i listy zakupów. Ani jedna litera w jej pamiętkach nie sugerowała obłędu, depresji lub kłopotów. Wszystko było w znakomitym porządku aż do chwili, kiedy Calypso zdecydowała się zostawić za swoimi plecami całe swoje dotychczasowe życie, wyskakując z dziesiątego piętra w hotelu. To wspomnienie wywoływało w Annie taki smutek, że powoli zaczynała czuć wstręt do patrzenia przez okno. Za każdym razem, kiedy to robiła, widziała bezbronne, okaleczone ciało przyjaciółki, roztrzaskane o trotuar. Czasem zamiast Calypso widziała tam dzieci... Zapomniała o nich przez chwilę po koncercie, ale teraz, z każdą chwilą, wspomnienia wracały jak zły sen, przeplatając się z chwilami zadumy nad całym jej własnym życiem. Poza tym, im bliżej było drugiego przedstawienia, tym częściej Annę ogarniał strach przed La Scala. Podświadomie czuła, że tam wydarzyło się niedawno coś strasznego, a na dodatek mogło mieć miejsce ponownie, tym razem z jej udziałem.

Na pierwszy, poważny ślad, prowadzący do rozwiązania zagadki, trafili przez przypadek policjanci. Przyszli do jej garderoby na godzinę przed występem. Po wstępnym przedstawieniu się, wyższy z dwójki oficerów zapytał:

– Jak dobrze znała pani zmarłą?

– Była moją bliską przyjaciółką, choć nie widziałyśmy się od dłuższego czasu – odpowiedziała.

– Od jak dawna? – spytał drugi.

– Pół roku – odparła, doszukując się związku ze sprawą. Policjanci byli wyraźnie zakłopotani. W końcu jeden z nich przełamał się:

– Zapewne nie wie pani, że przyjaciółka korzystała z usług panów do towarzystwa? – zagadnął. To ją rzeczywiście zaskoczyło.

– Niemożliwe, ona zawsze miała powodzenie, dużo większe ode mnie – zaoponowała. – Nie wierzę, że potrzebowałaby żigolaków – powiedziała bez ogródek.

– Sprawdziliśmy jej numery telefonów, rozumie pani – niezręcznie tłumaczył się drugi policjant. – No i jeden z nich doprowadził nas do tej agencji – dodał. – Kiedy pokazaliśmy jej zdjęcie, okazało się, że jeden z mężczyzn pracujących tam znał ją. Był u niej dwa razy, krótko przed jej śmiercią. Zapamiętał ją dokładnie, bo wydawało mu się, że się czegoś bała, próbując w jego ramionach zapomnieć o prześladowających ją myślach. Jeszcze jedna rzecz utkwiła mu w pamięci – ściszył głos policjant. – Poprosiła go, aby nigdy nie pokazywał się w okolicy La Scali, a już na pewno nie wchodził do opery.

– Nic dziwnego – przerwał mu wyższy. – Nie chciała, aby ją rozpoznał – powiedział. – Cierpiała na depresję. Brała jakieś pigułki. Przed śmiercią musiała je wszystkie wyrzucić – dodał.

– W porządku – weszła mu w słowo. – Ale czego panowie chcecie ode mnie? – zapytała.

– Znała ją pani na długo wcześniej przed wypadkiem, chcielibyśmy, aby pani przypomniała sobie, czy przyjaciółka kiedykolwiek cierpiała na manię prześladowczą? – zapytał.

– Słyszałem, że zdarza się to solistkom operowym – wtrącił niższy.

– Owszem, cierpiała na to poprzedniczka Calypso w La Scali, a przez pewien czas nawet Maria Callas, ale to nie reguła – zripostowała. – Może być pan pewien, że moja przyjaciółka nie popełniła samobójstwa. Nigdy w to nie uwierzę – dodała.

– No cóż, dziękujemy za pomoc – zakończył rozmowę wyższy z policjantów. Obaj skłonili się uprzejmie i wyszli. Sokołowska jeszcze przez dłuższy czas rozpamiętywała ich słowa. Nie chciała się do tego przyznać, ale ją samą również prześladowało dziwne poczucie osaczania przez jakieś nieznane siły. Poprzedniczka Calypso wycofała się ze śpiewania z powodu depresji. Po powrocie z Mediolanu potrzebowała wizyty w sanatorium. Podobne losy spotykały wcześniej inne solistki...

Moment występu nadszedł nadszpiewanie szybko. Kiedy Sokołowska wychodziła na scenę, jej płuca zdawały się ważyć więcej niż reszta ciała. Publiczność oklaskiwała ją jak zwykle, ale ona pamiętała z tego koncertu jeszcze mniej niż z poprzedniego. Tym razem jednak nie zaślabła. Podczas arii *Casta diva* poczuła nieprzyjemny ucisk wokół serca, ale wytrzymała. Próbowała oswobodzić się z niego, przyglądając się gościom zgromadzonym na sali. Poskutkowało. W efekcie prawie zapomniałaby śpiewanej partii. Trochę pomogła jej dobra znajomość libretta, a trochę wrodzony talent aktorski. Wymagające mediolańskie audytorium ponownie skandowało na jej cześć. Miała nawet na tyle siły, że zdecydowała się przyjąć kilku gości w garderobie. Jeden z mężczyzn, którego zapamiętała podczas wykonania *Casta diva*, przyniósł jej kwiaty

– Podziwiam panią, madam – powiedział. – Pani śpiew jest nieporównywalny z niczym innym na świecie. Jest niezwykle wzruszający.

– Dziękuję – odparła. Czuła się już znacznie lepiej, jakby niewidoczny balast zsunął się z jej piersi

– Czy w przyszłym tygodniu również wystąpi pani w *Normie*? – zapytał.

– Chyba tak – odpowiedziała z wahaniem.

– Jest pani jeszcze lepsza od Calypso – powiedział niespodziewanie. – Byłem na wszystkich jej koncertach

– Poważnie? – zwietrzyła trop Sokołowska. – I co pan sądzi o jej tragicznej śmierci?

– Szczerze? – prawie szeptem spytał mężczyzna. Skinęła głową. – Kiedy widziałem ją tutaj po ostatnim występie w jej życiu – zaczął – wyglądała na osobę zdecydowaną zrobić coś szalonego. Jej oczy były takie nieobecne – dodał, wpatrując się w twarz Sokołowskiej. – I trochę się postarzała przez ostatnie tygodnie

– To straszne – podsumowała. – Co mogło doprowadzić ją do takiego stanu? – dociekała Sokołowska, całkowicie zapominając o niedawnych koszmarach.

– Mało spała – odparł mężczyzna. – Mój znajomy, pracujący w miejskiej bibliotece mówił mi, że spędzała tam całe noce, śledząc jakieś stare artykuły. Robiła skrzętne notatki. Zapisala chyba ze sto stron.

– To niemożliwe – zauważyła Sokołowska. – Nie znalazłam czegoś takiego w jej zbiorach – powiedziała. Mężczyzna zastanowił się chwilę.

– Ach tak – odparł po chwili. – Kiedy była tam ostatni raz, zapomniała zeszytu. Mój znajomy zachował go sobie na pamiątkę – stwierdził.

– Czy byłby pan tak miły i podał nazwisko tego znajomego? – spytała najuprzejmiej jak tylko mogła Sokołowska. – To bardzo ważne – dodała.

– Oczywiście – mężczyzna był pełen chęci przysłużenia się podziwianej artystce. – Nazywa się Silvio Antonioni – dodał. – A przy okazji, ja jestem Domenico Delli – powiedział, podając jej rękę. – Raz jeszcze gratuluję występu.

– Dziękuję – odpowiedziała, skrzętnie notując w pamięci nazwisko bibliotekarza, w którego posiadaniu był obecnie najważniejszy dokument w całej tej tajemniczej sprawie.

\* \* \* \* \*

Tego wieczora nie wróciły ani koszmary związane ze śmiercią Calypso, ani z dziećmi, ani z przygnębiającą atmosferą La Scali. Nawet fakt, że gdy jechała taksówką, minęła mężczyznę, kropla w kroplę podobnego do Nibellego, nie zakłócił triumfalnego powrotu do hotelu.

Euforia trwała bardzo krótko. Kolejnym niepokojącym elementem tej układanki stały się pozostałe po Calypso zdjęcia, które Sokołowska oglądała przybywszy do hotelu. Na wszystkich widniała pozornie szczęśliwa sopranistka w towarzystwie znajomych. Właściwie nic interesującego nie dało się z tych zdjęć wywnioskować. Poza jednym elementem. Na wszystkich zdjęciach zrobionych w pokoju hotelowym, w prawym rogu szyby tkwił jakiś przedmiot. Sokołowska nie miała wątpliwości, co to mogłoby być, bo identyczny element zakłócał czystą tafłę szyby, którą wstawił w jej okno Nibelli. Ten kamień zniknął z hotelowego pokoju po śmierci Calypso. Czyżby Nibelli specjalnie zabrał go z miejsca tragedii i przytransportował, aby wstawić go do jej szyby? Ale jak, na Boga, potrafiłby pokonać ponad półtora tysiąca kilometrów w ciągu kilku minut?! To nie dawało jej spokoju. Tajemniczy kamień, osoba Nibellego i zapiski Calypso, przechowywane przez Antonioniego, były nitkami prowadzącymi do wspólnego kłębka. Pójście za którąkolwiek z nich mogło doprowadzić do rozwiązania. Sokołowska obawiała się, że prawda mogła być dla niej zbyt ciężka do udźwignięcia. Musiała jednak zaryzykować. Była to winna Calypso.

Kolejny dzień nie przyniósł ulgi. We śnie słyszała po raz trzeci z rzędu rozdzierający krzyk płonących dzieci. Te wizje prześladowały Sokołowską także po przebudzeniu. Starła się je ignorować, wiedząc, że ma do wykonania coś bardzo ważnego, jednak za każdym razem, gdy patrzyła na budzący się do życia Mediolan, dostrzegała łunę pożaru. Tym razem nie została w hotelu. Nie mogła znieść beczynności. Pierwszym miejscem, do którego się udała, była stara biblioteka publiczna prowadzona przez Silvio Antonioniego. Wspaniałe, renesansowe rzeźby, skrywające wejście do budynku, robiły imponujące wrażenie. Jeszcze okazały prezentowało się wnętrze biblioteki. Antonioni okazał się niskim, potężnie zbudowanym mężczyzną, prawdopodobnie Sycylijczykiem z pochodzenia. Kiedy go ujrzała, nie miała wątpliwości, że to właśnie on musiał być powiernikiem niezwykłego sekretu:



– Przepraszam, nazywam się Sokołowska – przedstawiła się – Czy rozmawiam z panem Antonionim? – zapytała.

– Od urodzenia – odparł, próbując zażartować bibliotekarz. – Czym mogę służyć? – zwrócił się do niej uprzejmie.

– Pański adres dał mi Domenico Delli. Mówił, że jest pan w posiadaniu bardzo ważnych dla mnie notatek, które zrobiła tu znana pieśniarka Calypso, krótko przed śmiercią – oznajmiła.

– Bardzo przykra historia – smutnym tonem oświadczył Antonioni. – Byłem zdumiony słysząc dzisiaj nowiny

– Dzisiaj – zdziwiła się Sokołowska. – Przecież od jej śmierci minęło już kilka dni. Dopiero dziś się pan o tym dowiedział? – spytała.

– To pani jeszcze nie wie? – otworzył szeroko oczy bibliotekarz. Mina kobiety sugerowała, że nie jest wtajemniczona w dane, którymi dysponował Antonioni. – Domenico zmarł wczoraj na zawał serca, wracając z pani koncertu – powiedział. Sokołowska poczuła bolesny ścisk w żołądku.

– Jak to? – bezradnie wybełkotała – Przecież on był taki młody. Ile miał lat?

– Trzydzieści jeden – oświadczył Antonioni. – Powiem pani coś w zaufaniu – dodał. – Nigdy nie słyszałem o jego problemach z sercem. Po prostu upadł nagle na chodnik. Kiedy przyjechało pogotowie, już nie żył. Zaledwie kilka dni po śmierci jego wielkiej idolki – dokończył. Sokołowska z trudem łapała powietrze. Teraz koniecznie musiała dowiedzieć się, co kryły notatki Calypso.

– Czy ma pan te notatki? – zapytała przez zaschnięte gardło.

– Mam je przy sobie. Są w szufladzie. Proszę chwileczkę poczekać – zaproponował bibliotekarz. Nie było go najwyżej minutę. Wrócił, trzymając w ręku okazały skoroszyt. – To wszystko, co mam – oznajmił. – I wszystko, co zapisała pani przyjaciółka w tej bibliotece. Więcej nic nie mam – dodał, szeroko rozkładając ręce.

Sokołowska chwyciła skoroszyt, podziękowała Antonioniemu i skierowała się w stronę stołów i krzeseł przeznaczonych dla czytelników. Zeszyt otwierała niemal z nabożną czcią, jakby zawierał jakieś tajemne zaklęcia. Rozczarowała się, widząc urywane zdania dotyczące wybitnych sopranistek, pokserowane karnety z La Scali i notatki z lokalnych nekrologów. Spędziła prawie trzy godziny, próbując odgadnąć, o czym myślała Calypso, kiedy zbierała te informacje. Wiedziała, że musiały one tworzyć logiczną całość. Zaczęła dostrzegać w nich jakiś głębszy sens, kiedy przypomniała sobie o rozmowie z policjantami. Mówili o depresjach sopranistek. Nie były to tylko plotki. Według zbiorów Calypso, na depresję w La Scali, kiedy w Mediolanie grano *Normę*, cierpiały takie sławy jak: Roza Derybe – Szeppataki i Adelina Patti. Czy to mógł być przypadek? Coś niedobrego działo się pod kopułą La Scali za każdym razem, gdy wybrzmiewały dzieła Belliniego. Jakby jakaś klątwa ciążyła nad wokalistkami, wykonującymi *Normę*. To było pewne. Ale jak do tego się miały listy posiadaczy karnetów na opery i notatki z lokalnych nekrologów, tego Sokołowska jeszcze nie mogła odgadnąć. Wiedziała jednakże, że znalezienie punktu wspólnego przybliży ją do rozwiązania zagadki.

Kolejnym etapem jej poszukiwań był skromny gabinet Antonio Lamentiniego. Od swojego impresario dowiedziała się, że jest jedynym gemmologiem w Mediolanie, a zatem tylko on mógł powiedzieć jej coś więcej o tajemniczym kamieniu, który dziwnym trafem przemierzył tysiące mil, aby znaleźć się w jej domu. Lamentini wykładał geologię na uniwersytecie. Gemmologiem był z zamiłowania. Jego małe pokójki zrobił na Sokołowskiej niezwykle wrażenie. Cały upstrzony był cennymi kamieniami, jakby jego właściciel chciał od razu przy wejściu narzucić gościowi temat pierwszej rozmowy.

– Cudowne zbiory – oceniła Sokołowska. Twarz profesora rozjaśnił jowialny uśmiech.

– To dzieło całego mojego życia – odparł, uważnie śledząc swoją rozmówczynię. – Na każdym robi wrażenie – dodał, uważnie cedząc słowa. – Co panią do mnie sprowadza? – zapytał, zniecierpliwionym zmieniając temat.

– Interesują mnie losy pewnego kamienia. Mam nadzieję, że udzieli mi pan niezbędnych informacji – powiedziała, rozglądając się po trofeach profesora.

– Czy widzi go pani tutaj na sali, czy też może chodzi o konkretny przypadek, dotyczący jednostkowego klejnotu? – zapytał.

– Ten, o którym myślę, nie należy chyba do klejnotów. Nie widzę go też tutaj, wśród pańskiej kolekcji – odparła.



– Ta sala to zaledwie przedsionek mojego królestwa – pochwalił się Lamentini. – W mieszkaniu mam ich ponad pięć razy więcej. Nie wypada się chwalić, ale jedynie dwoje ludzi, oprócz mnie, może poszczycić się takimi zbiorami – dodał.

– Być może to bardzo pospolity kamień. Niepospolita jest jedynie historia z nim związana – rzekła Sokołowska, wręczając profesorowi powiększone zdjęcie Calypso, siedzącej we własnym pokoju, na tle szyby balkonowej. Lamentini chwycił lupę i uważnie zaczął przypatrywać się kamieniowi. Im dłużej się przyglądał, tym pewniejsze się wydawało, że kamienia nie widział nigdy wcześniej.

– Niesamowite – orzekł. – Nie wierzyłem nigdy w jego istnienie, choć niejedno o nim kiedyś słyszałem – stwierdził ze zdumieniem. – To najprawdziwszy unikat. Jak on mógł się znaleźć wewnątrz szyby okiennej? Ktoś MUSIAŁ go tam umieścić celowo, to jedyne rozwiązanie. Musiałbym go zbadać, aby dokładnie stwierdzić, skąd pochodzi.

– Rzecz w tym, że znajduje się on obecnie w moim mieszkaniu, daleko stąd, wewnątrz szyby balkonowej – oznajmiła Sokołowska.

– Więc to pani mieszkanie? – zapytał profesor, wskazując na zdjęcie.

– Niestety nie – odparła. – To pokój mojej przyjaciółki, Calypso. Była sopranistką. Podobnie jak ja śpiewała w La Scali. Niecały tydzień temu popełniła samobójstwo, skacząc z dziesiątego piętra swojego hotelu. W tym samym momencie pękła szyba w moim mieszkaniu. Kamień, który był w szybie pokoju Calypso, znalazł się nagle u mnie – wyrecytowała.

– Niebывале – wyszeptał Lamentini. Jego źrenice otworzyły się szeroko ze zdumienia. – Ale jak się okazuje, nie nierealne. Ten minerał w pani szybie to lapis, kamień szatana, ukochane dziecko alchemików. Nikt nie wie, w jaki sposób powstał. Podobno przynosi nieszczęście. Jeden z moich przyjaciół interesował się przed laty losami lapisu. Śledził wszystkie przypadki i historie z nim związane. Specjalnie studiował w tym celu alchemię. Niestety, mieszka od kilku lat w Nowym Jorku i nie wiem, czy mam jeszcze jego numer telefonu, jeśli w ogóle jeszcze żyje. Musiałaby pani zadzwonić do mnie jutro, aby dowiedzieć się czegoś więcej. I jeszcze jedno... – zaczął profesor.

– Tak? – spytała Sokołowska.

– Proszę się pozbyć tego lapisu ze swojego balkonu. On naprawdę przyciąga nieszczęścia – ostrzegł śpiewaczkę Lamentini.

– Dziękuję za przestrożę. Zadzwonię jutro – oświadczyła Sokołowska. Gabinet gemmologa wydawał się jej dużo uboższy po rozmowie. Brakowało w jego zbiorach lapisu...

Po powrocie do pokoju hotelowego od razu zabrała się do ponownego, dokładnego wertowania notatek. Nawet nie spostrzegła się, kiedy nadszedł wieczór. Głowa rozbolała ją od wielokrotnego przeglądania tych samych, drobnutko zapisanych stroniczek. Lektura pozwoliła jej jednak zapomnieć o nawiedzającym ją ostatnimi czasy widoku palących się dzieci. Zatopiła się w notatki Calypso bez reszty. Prawdziwy sukces przyszedł, kiedy spróbowała połączyć dane z karnetów i nekrologów. Po żmudnym wypisywaniu wszystkich napotkanych nazwisk, zauważyła, że niektóre zaczęły się powtarzać z przerażającą dokładnością. Na każdą stronę nekrologów, zgromadzonych przez nieżyjącą śpiewaczkę, przypadało jedno nazwisko, należące do posiadacza karnetu z La Scali. Każdy z nich zmarł w dniu wykonania *Normy*. Sokołowska bezbłędnie domyśliła się, że Delli podzielił ich los, a ona pośrednio się do tego przyczyniła. Był tylko jeden sposób sprawdzenia, czy złowieszcze przypuszczenia mogą być prawdziwe. Potrzebowała do tego aktualnej listy karnetów i gazety sprzed dwóch dni...



Zanim wykonała kolejny telefon, zmógł ją sen. Obudziła się dopiero nazajutrz. Kolejny raz wschodzące słońce przypomniało jej o koszmarze sprzed dwóch lat, kiedy to dwójka jej ukochanych dzieci zginęła w płomieniach, podczas pożaru. Ich krzyk wciąż odbijał się w jej uszach. Nie mogła, mimo mijających miesięcy, strząsnąć z siebie przerażającego faktu, że już ich nie było. Macki obłędu były tuż, tuż. Dziwne wydarzenia ostatnich dni potęgowały tylko to wrażenie. Dopiero kiedy przypomniała sobie, że ma pewne zadanie do wykonania, zebrała w sobie siły do działania. Po zjedzonym śniadaniu udała się do hotelowej czytelnicy. Wzięła magazyn sprzed trzech dni i zadzwoniła do impresario, aby dostarczył jej listę z nazwiskami osób, które wykupiły karnety na tegoroczne występy operowe. W międzyczasie postanowiła skontaktować się z profesorem Lamentinim, w sprawie niezwyklego kamienia. Chwyliła książkę telefoniczną i zaczęła wertować kolejne strony, licząc na znalezienie numeru należącego do gemmologa. Z zupełnej ciekawości sprawdziła jeszcze jedno nazwisko. Niestety, mimo że Mediolan liczył ponad trzy miliony mieszkańców, nie znalazła żadnego Nibellego. Coś podpowiedziało jej, aby sprawdziła zakłady szklarskie.

Pierwszy rzut oka na ich spis wystarczył, aby zimny pot zrosił jej plecy. Tutaj również działał zakład o dźwięcznej nazwie *Roman*. Jej właścicielem był niejaki Antonio Nibelli. Momentalnie chwyciła za słuchawkę i wykręciła wskazany numer, chcąc dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi. Niestety, operator oświadczył beznamiętnym głosem, że abonent został odłączony od usługi. Nibelli nie pracował już w Mediolanie. Może dlatego, że przeniósł się do Polski? Ale przecież tam jego firma prosperowała już od prawie trzydziestu lat. Na tyle wygłądał też Nibelli...

Wykręciła inny numer. Telefon odebrał sam Lamentini. Był wyraźnie przestraszony. Mówił szybkim tonem, aby coś niespodziewanie nie przeszkodziło mu w przekazaniu jakiejś ważnej informacji.

– Dobrze, że pani dzwoni – zaczął, kiedy Sokołowska się przedstawiła. – Mam dla pani niezwykle wiadomości.

– Zamieniam się w słuch – oświadczyła.

– Mój przyjaciel mieszka wciąż w Nowym Jorku i mimo wcześniejszych zapewnień, że nie chce wracać do swojej pasji, zdołałem nakłonić go na chwilę rozmowy. Mówił, że nie słyszał, aby lapis kiedykolwiek pojawiał się w szybach, ale ta niewiedza mogła wynikać z faktu, że od kilkudziesięciu lat nie interesował się już jego historią. Kiedy on badał dzieje lapisu i wzmianki o pojawieniu się tego kamienia, po Mediolanie krążyła legenda, że działał w mieście niezwykle jubiler, potomek dawnego rodu alchemików, który specjalnie dla Toti del Monte na jej występ na deskach La Scali skonstruował pierścień, zawierający w sobie lapis. Nigdy nie dowiedział się, czy to prawda. Pozostały mu przypuszczenia. Del Monte popadła w obłęd. Przestała rozmawiać ze znajomymi. Krótco po premierze *Normy* wymyśliła sobie, że jest winna śmierci w płomieniach dwójki jej dzieci. Pani śpiewa w tej operze, więc zapewne wie, że pod koniec spalona żywcem zostaje tytułowa bohaterka i jej kochanek...

– Pan poczeka sekundę, panie profesorze – poprosiła Sokołowska, aby wziąć głęboki oddech. – To znaczy, że ona tych dzieci nie miała? – zapytała.

– Ani jednego – odparł Lamentini. – Nie dość na tym. Po jej odejściu z La Scali przez wiele lat nie grano *Normy*. Sytuacja zmieniła się, kiedy do Mediolanu zawitała sama Maria Callas. O dziwo. Na palcu miała ten sam pierścień, który przed laty nosiła del Monte. Podobno dostała go od anonimowego darczyńcy na kilka dni przed przyjazdem do Mediolanu. Nikt nie wie, co się z nim działo przez pozostałe kilkadziesiąt lat. Jedno jest pewne. Pierścień zawierał lapis. Callas zachorowała. Cierpiała na duszności.

Ciągle widziała ogień i płonące dzieci. Miała wstręt do gęsto zatłoczonej sali La Scali. Kochała jednak muzykę. *Casta diva* w jej wykonaniu była niesamowita. Wyjechała, kiedy zaczęły krążyć legendy, że w jej głosie jest coś zabójczego. Po wyjeździe duszności się skończyły. Pierścień przestał się jej podobać. Podobno odkupił go od niej jeszcze przed wyjazdem tajemniczy kolekcjoner, o nazwisku bardzo podobnym do tego jubilera, który zrobił pierścień dla del Monte.

– Jak nazywał się ten jubiler? – z drzeniem w głosie zapytała Sokołowska.

– Nietypowo – padła odpowiedź. – Chyba Nebulli czy jakoś tak.

– Nibelli? – szukała potwierdzenia sopranistka.

– Właśnie tak – odparł Lamentini. – I jeszcze jedno – dodał po chwili. – Mój przyjaciel radzi pani, aby pozbyć się tej szyby z lapisem. On ściąga nieszczęścia na jego właściciela. To dzieło alchemika. Być może był nim właśnie ten Nibelli. Kamienia zniszczyć nie można. Można się go natomiast pozbyć. Ale uwaga. Lapis wie, kiedy chcemy się go pozbyć. Wtedy jest najbardziej niebezpieczny – zakończył wypowiedź profesor.

– Rozumiem. Dziękuję panie Lamentini. Pana pomoc była nieoceniona – dodała na koniec.

Już wiedziała, że lapis nie dostał się w jej ręce przypadkiem. To wydarzenie wiązało się z deskami La Scali. Kryły w sobie jakąś mroczną legendę, która była rozwiązaniem ciągu tajemniczych wydarzeń ostatniego tygodnia. Gdzie jak gdzie, ale w Mediolanie ktoś musiał znać tę historię. Kiedy odłożyła słuchawkę na widelki, momentalnie ktoś zapukał do pokoju. Chłopiec na posyłki przyniósł list od impresario z wykazem słuchaczy jej pierwszego koncertu. Błyskawicznie spisała dane. Przez półtorej godziny szukała nazwiska, które powtórzyłoby się w lokalnej gazecie sprzed trzech dni i liście od impresario. Bezskutecznie. Ogarnęła ją apatia, spowodowana zapewne niepowodzeniem w poszukiwaniach. Poczula się bezsilna. Była tak blisko rozwiązania, a jednak po pierwszym koncercie, kiedy czuła się tak fatalnie, nic wyjątkowo się nie wydarzyło. Zeszła do czytelnicy oddać gazetę. Wtedy naszła ją myśl, aby profilaktycznie sprawdzić jeszcze wydanie lokalnego dziennika sprzed dwóch dni. To był strzał w dziesiątkę. Od razu rozpoznała nazwisko mężczyzny, który był świadkiem jej premierowego koncertu. Zmarł na zawał serca. Poczula się fatalnie, ale tym razem towarzyszyła temu gorzka satysfakcja. Najbardziej martwiła ją myśl, że Calypso, na krótko przed śmiercią, wiedziała już to, co ona teraz. Wiedziała też, że pośrednio za to odpowiedzialny był jej śpiew i że jej poprzedniczkom zdarzało się to samo. Nie było jednak żadnej notatki o lapisie. Nie dotarła tak daleko jak ona. To była szansa. Do drzwi znowu ktoś zapukał. Serce podeszło jej do gardła. Szybkim ruchem ręki otworzyła drzwi, spodziewając się zobaczyć w nich Nibellego, ale za progiem stała jakaś kobieta.

– Przepraszam, czy mogę wejść? – zapytała. – Mam dla pani informację o Calypso – dodała.

– Proszę – wpuściła ją Sokołowska. – Skąd pani wie, że interesuję się tą sprawą?

– Pan Antonioni poinformował mnie, że wzięła pani jej notatki – odparła. – Spotykaliśmy się z Calypso codziennie w miejskiej bibliotece.

– Antonioni? – powtórzyła Sokołowska. – Co jeszcze pani powiedział?

– Że nie wierzy pani w jej samobójstwo. Ja też nie – niespodziewanie oznajmiła dziewczyna. – WIEM, że je popełniła.

– To niemożliwe – po raz któryś z rzędu, w ciągu ostatnich kilku dni odparła sopranistka. – Ona za bardzo kochała życie – dodała.

– Niezupełnie – spokojnie zripostowała dziewczyna. – Długo się wahała, jakiego dokonać wyboru. Ktoś ją prześladował, nachodził. Manipulował jej życiem za pomocą jakiegoś kamienia. Próbowala

zniszczyć ten minerał, ale on zawsze do niej wracał. Domyślała się, że przez śpiew zabijała ludzi. Poza tym nawiedzały ją koszmary. Wciąż myślała o tragicznie zmarłych dzieciach.

– Ona nie miała dzieci – przerwała wywód w pół słowa Sokołowska. – Co jeszcze pani wie? To bardzo interesujące – pytała dalej.

– Ten człowiek – zamyśliła się dziewczyna. – Był kimś w rodzaju alchemika, ale przedstawiał się jako szklarz. Bała się go bardziej niż śmierci. Dlatego skoczyła. Chciałam, aby pani to wiedziała – dodała. – Mam nadzieję, że pani uniknie jej losu. Wszystkie sopranistki po *Normie* popadają w obłąd.

– Został mi już tylko jeden występ – oznajmiła Sokołowska. – Później opuszczam Mediolan. Nie zamierzam być kolejną ofiarą jakiegoś szaleńca. W każdym razie dziękuję za troskę i bardzo cenne informacje – powiedziała.

– Jakby pani miała jakiś problem, to będę w bibliotece. Jestem tam codziennie od drugiej do piątej. Do widzenia pani – pożegnała się dziewczyna.

Sokołowska miała mętlik w głowie. Po raz pierwszy zrozumiała, że coś jej zagrażało. Nie było chwili do stracenia. Musiała skontaktować się z Tomaszem i spytać go, czy kiedykolwiek mieli dzieci. Nie ufała już ani swoim myślom, ani zmysłom. Na pewno nie mogła też zaufać pamięci. Mnemozyna była na usługach Nibellego. Chociaż ten pożar był taki sugestywny. Za każdym razem płonęła na scenie w ostatnim akcie *Normy*. W sztuce miała również dwoje dzieci. Czyżby to był tylko obłąd, czy może intryga? Musiała poznać odpowiedź.

– Tomasz? – zapytała, kiedy usłyszała w słuchawce znajomy głos. – Czy możesz poświęcić mi kilka minut? – zapytała.

– Jasne, nawijaj – rzucił Tomasz. – Słyszałem, że nieźle ci się powodzi w La Scali. Gratuluje!

– To w tej chwili najmniej ważne, ale dziękuję – powiedziała Sokołowska. – Chciałabym zadać ci bardzo dziwne pytanie – ostrzegła swojego rozmówcę. – Może pomyślisz, że oszalałam albo upadłam na głowę i doznałam amnezji, ale to dla mnie bardzo ważne.

– Słucham – z niepokojem w głosie odpowiedział Tomasz.

– Czy my kiedykolwiek mieliśmy dzieci? – zapytała. Zapadła cisza. Sokołowska była prawie pewna, że w tym czasie jej rozmówca zastanawiał się czy w ogóle kontynuować tę konwersację. Pytanie było tak nienormalne, jak wszystkie wydarzenia ostatnich dni. Tomasz wyraźnie bił się ze swoimi myślami. W końcu się jednak odezwał:

– Nigdy ze sobą nie spaliśmy – odpowiedział. – Nigdy ze sobą nie chodziliśmy. Nawet nie rozmawialiśmy tak często, żebyś mogła snuć takie przypuszczenia – dziwił się. – Co ci przyszło do głowy i jak, u licha, możesz nie wiedzieć, czy i z kim miałaś dzieci?

– Tomasz, ostrzegałam cię, że pytanie będzie dziwne. Coś niedobrego dzieje się tu w Mediolanie. To ma związek ze śmiercią Calypso – odparła.

– Chyba nie masz samobójczych myśli? – przestraszył się Tomasz.

– Nie, skądże – odrzekła. – Po prostu prześladują mnie wizje śmierci moich dzieci, a wszystko wskazuje na to, że ich nie miałam. Nie wiem też czemu, wydaje mi się, że ty byłeś ich ojcem.

– Z reguły unikałaś mężczyzn. Poświęciłaś się bez reszty karierze. Niejeden próbował. Nic już nie pamiętasz? – spytał.

– Wszystko, co pamiętam, to imaginacja, a prawda gdzieś się zapodziała. Z każdym dniem pamiętam coraz mniej rzeczy z czasów, kiedy mieszkałam w Polsce – stwierdziła.

– Może się przepracowujesz i powinnaś troszeczkę odpocząć – zaproponował Tomasz.

– Chyba masz rację – odparła Sokołowska, nie chcąc wyjawiać całej prawdy przyjacielowi. W jej głowie zaczął świtać pewien plan. Musiała zaryzykować.

Pokoik Francesco Baginiego urządzony był w skromny sposób. Jego właściciel nie miał telewizora ani komputera, jedynie adapter i mnóstwo płyt analogowych z muzyką poważną. Jak na pracownika konserwatorium przystało, słuchał tylko dawnych mistrzów. Sokołowskiej polecił go pracownik hotelowej czytelnicy. O Baginim krążyły różne historie. Podobno znał wszystkie anegdoty o słynnych kompozytorach, zwłaszcza o tych, którzy tworzyli na potrzeby La Scali. Przeczytał setki książek o Verdim, Rossinim, Bellinim, mógł więc wiedzieć coś, co rzuciłoby nowy cień na historię ostatnich dni. Sam Bagini był drobnutkim, podstarzałym mężczyzną, który tonął wręcz w zalewie okładek płytowych, plakatów i obrazów, które upiększały jego ściany. Kiedy siadywał w samym rogu, można było odnieść wrażenie, jakby pokój był pusty. Tak też początkowo pomyślała Sokołowska, kiedy po zapukaniu weszła do środka. Dopiero głos dobiegający z jednego z kątów uświadomił jej, że było całkiem inaczej:

– Pani ostatni występ był czarujący – powiedział zniecierpliwiona. Sokołowska wzdrygnęła się. Nie lubiła niespodzianek.

– Myślałam, że pana nie ma – oznajmiła zmieszana.

– Jestem i mam się dobrze, choć może tego po mnie nie widać – odparł Bagini. – Co sprowadza tak szanownego gościa w moje skromne i ubogie progi? – zagadnął uprzejmie. Sopranistka na chwilę zahała się, jakby zastanawiała się, czy może zaufać swojemu rozmówcy.

– Słyszałam, że zna pan wszystkie tajemnice La Scali – zaczęła. – I właśnie jedna taka tajemnica mnie interesuje

– Dziękuję za słowa uznania, ale opinia, którą pani usłyszała na mój temat, jest mocno przesadzona. Nie znam wszystkich sekretów, które kryje ten pokoik, a co dopiero tak stara i wielka budowla jak La Scala, ale umieram już z ciekawości, o jakiej to tajemnicy pani mówi – oświadczył meloman.

– Czy zna pan jakieś legendy lub anegdoty związane z Vincente Bellinim, a zwłaszcza z operą *Norma*? – zapytała. – To bardzo ważne – dodała.

– Znam kilka legend o Bellinim, ale nie rozumiem, jakie może to mieć znaczenie dla pani. Jeśli zobrazuje mi pani sytuację, dużo łatwiej będzie mi pani pomóc – odparł Bagini. Sokołowska musiała zaryzykować

– Od chwili przyjazdu do Mediolanu mam dziwne przeczucie, że coś mnie prześladowuje. Jakby jakieś fatum ciążyło nad *Normą*. Kiedy śpiewam, mam duszności. Przed koncertami miewam wizje dwóch dzieci, które giną w płomieniach. Po każdym wykonaniu arii *Casta diva* umiera jeden z uczestników koncertu. To samo prześladowało inne sopranistki w La Scali, łącznie z Calypso. Być może dlatego popełniła samobójstwo. Podobno prześladował ją jakiś alchemik – zakończyła.

Bagini siedział nieruchomo. Nie zadawał żadnych dodatkowych pytań, ani nie śmiał się. Wręcz przeciwnie. Bardzo poważnie potraktował jej wypowiedź. Po krótkim milczeniu podniósł się z krzesła i podszedł do półki z książkami. Przewertował jakąś starą, podniszczoną broszurkę, po czym odstawił ją na miejsce i usiadł na krzesło przy stolicku, stojące na środku pokoiku. Sokołowskiej wskazał drugie krzesło. Dopiero kiedy usiadła, przemówił:

– Nie wiem, czy pani wie, ale większość librett do oper Belliniego napisał Felice Romani – zaczął Bagini. – To był wybitny człowiek, wspaniały pisarz. Niestety, źle ulokował swoje uczucia. Wybranką jego serca została młodziutka śpiewaczka Giuditta Pasta, w której zakochał się także sam mistrz Bellini. Napisał dla niej partię operową, a Romaniego poprosił o napisanie do niej libretta. Widząc, że Pasta jest zauroczona kompozytorem, Romani zemścił się na obojgu, pisząc przewrotny tekst, w którym kochanka głównej bohaterki przedstawił jako człowieka o chwiejnych poglądach, niewiernego i impulsywnego, całą operę kończąc tragicznym wątkiem. Pasta bardzo się rozgniewała. Chciała już nawet zerwać kontrakt. Wtedy Bellini dopisał jej jeszcze jedną arię: *Casta diva*, jedną z najśłynniejszych w historii muzyki operowej. Giuditta zakochała się w tej muzyce i w Bellinim oczywiście. Romani poniósł klęskę, ale jego dzieło przetrwało. Taka jest wersja oficjalna, ale śmierć kompozytora kilka lat później stała się



zarzewiem do snucia całej masy insynuacji i przypuszczeń. Według jednej z legend, do której dotarłem całkiem przez przypadek, gdy byłem na wakacjach na Sycylii, w rodzinnym mieście Belliniego, mówiło się, że jego śmierć nie była przypadkowa. Podobno miał brata, którego rodzice się wyrzekli. Też był zdolnym muzykiem, ale nie zyskał akceptacji w rodzinie, więc zajął się alchemią. Słyszałem także, że udało mu się stworzyć lapis, kamień poszukiwany od stuleci przez wszystkich alchemików. Nienawidził też szczerze swojego brata. Do niego podobno udał się zrozpaczony Romani, szukając zemsty na kompozytorze i śpiewaczce. Chciał, aby *Casta diva* stała się ich przekleństwem. Wkrótce potem Pastę, śpiewającą *Normę* w La Scali, dopadły majaki. Zaczęła identyfikować się z wykonywaną partią. Wyobraziła sobie, że dzieci jej bohaterki były także jej dziećmi, które spłonęły w ogniu, tak jak ona i jej ukochany. Wkrótce potem przestała śpiewać. Zresztą żadna primadonna śpiewająca *Normę* nie przywiązała się do tej roli. Wręcz przeciwnie, wszystkie w La Scali z chęcią się jej pozbywały. Nigdy jednak nie słyszałem, aby ktoś umierał po wykonaniu arii. Czyżby zemsta Romaniego nie ograniczyła się do Belliniego i Pasty, ale do wszystkich ich następców?

– Na to wygląda – stwierdziła Sokołowska. – Ten lapis był w szybie Calypso, a teraz jest w mojej szybie.

– Radziłbym się go jak najszybciej pozbyć – zawyrokował Bagini, powtarzając przestrożę Lamentiniego.

– W jaki sposób zmarł Bellini? – zapytała sopranistka. – Na zawał serca?

– Nie. Zginął w tajemniczej epidemii cholery, kiedy przebywał w Paryżu. Przypadkiem był tam wtedy Antonio, jego brat – odparł Bagini.

– Niech pan powtórzy to imię – poprosiła zaskoczona Sokołowska.

– Antonio. Antonio Bellini – padła odpowiedź.

– Nibelli – powiedziała śpiewaczka. – To anagram nazwiska Bellini – stwierdziła.

– A kim jest ten Nibelli? – zainteresował się Bagini..

– To jubiler, który robił pierścień z lapisem dla del Monte, szklarz, który wstawił lapis do szyby Calypso, a potem do mojej, tysiąc pięćset kilometrów stąd, w Polsce. Alchemik – przerażona skojarzyła wszystkie fakty Sokołowska.

– Nie może pani wykonać arii *Casta diva* podczas jutrzejszego występu – stwierdził wstrząśnięty Bagini. – Trzeba się przeciwstawić alchemikowi. To jedyna szansa.

– Tak też planowałam – przyznała śpiewaczka. – Ale czy to wystarczy?

– Z tego, co pani mówi, wynika, że jego vendetta nie ma końca i dotyczy tej arii. On się żywi tym wykonaniem, dlatego pani miewa duszności. Zabiera życie kolejnym mężczyznom, których utożsamia z bratem, niszczy życie sopranistkom. Będzie bezsilny, jeśli pani nie wykona tej partii.

Do występu zostało już tylko pół godziny, gdy do drzwi garderoby ktoś zapukał. Sokołowska zamarła, kiedy poznała gościa. W progu stał Antonio Nibelli. Nie mogła uwierzyć, że zdecydował się przyjść właśnie tutaj, w chwili, kiedy chciała wprowadzić w życie swój najbardziej szalony pomysł. Stał przed nią, milcząco wpatrując się w jej oczy.

– Witam ponownie – wyszeptał. – Pamięta mnie pani? – zapytał.

– Czego pan chce ode mnie? – zapytała drapieżnie Sokołowska. Nibelli uśmiechnął się.

– Chcę, aby wykonała pani dzisiaj arię *Casta diva* – powiedział wprost. – Żadna mi nie odmawiała: ani Patti, ani del Monte, ani Callas. Calypso miała charakterek, ale też nie mogła się oprzeć. Proszę. Muszę wykonać zlecenie.

– Ile lat temu je pan dostał? – spróbowała łagodniejszych metod śpiewaczka. – Sto, dwieście? – zapytała.

– Czas nie ma znaczenia. Liczy się tylko forma zlecenia. Ta aria jest moim opus magnum, moim lapisem. Bez mojego udziału opera Vincente nie byłaby nic warta. Tak długo, jak ona trwa, trwam ja. A pani jest tylko jednym z wielu ogniw tej historii. Ja jestem spoiwem. Proszę zaśpiewać tę arię.

– Ktoś znowu zginie – oświadczyła Sokołowska.

– To tylko część gry – odparł Nibelli. – Tak jak pożar i dzieci. Nikt nie umiera. To tylko iluzje. Efekt uboczny działania lapisu. Nie obchodzi mnie zemsta Romaniego. Chodzi o moją egzystencję. Dlatego nie może pani zrezygnować z tej arii. Zabije mnie pani – oznajmił załamany alchemik.

– Czas najwyższy – odrzekła sopranistka. Nie zauważyła, jak mężczyzna wyjął z kieszeni pewien przedmiot i przytknął jej do twarzy. Nie zdążyła zareagować. Trucizna zadziałała błyskawicznie. Nieprzytomna osunęła się na ziemię. W tym samym momencie na dalekich Antypodach, w Sydney, pękła szyba w mieszkaniu słynnej sopranistki koloraturowej.

*Bydgoszcz, grudzień 2002*